



MARCIN MORTKA



Wojna runów

# **Wojna runów**

### **Dotychczas ukazały się:**

1. Ewa Białołęcka – Kamień na szczycie  
(Kroniki Drugiego Kręgu. Księga II)
2. Iwona Surmik – Talizman złotego smoka
3. Tomasz Pacyński – Wrzesień
4. Anna Brzezińska – Opowieści z Wilżyńskiej Doliny
5. Maja Lidia Kossakowska – Obrońcy Królestwa
6. Tomasz Pacyński – Sherwood
7. Iwona Surmik – Smoczy Pakt
8. Tomasz Pacyński – Maskarada
9. Wawrzyniec Podrzucki – Uśpione archiwum
10. Ewa Białołęcka – Piołun i miód  
(Kroniki Drugiego Kręgu. Księga III)
11. Marcin Mortka – Ostatnia saga
12. Romuald Pawlak – Inne okręty
13. Tomasz Piątek – Żmije i krety
14. Wit Szostak – Wichry Smoczogór
15. Anna Brzezińska – Letni deszcz. Kielich
16. Tomasz Piątek – Szczury i rekiny
17. Tomasz Pacyński – Wrota światów. Zła piosenka
18. Michał Studniarek – Herbata z kwiatem paproci
19. Romuald Pawlak – Rycerz bezkonny
20. Izabela Szolc – Jehannette
21. Wit Szostak – Poszarpane granie
22. Tomasz Piątek – Elfy i ludzie
23. Wawrzyniec Podrzucki – Kosmiczne ziarna

### **W przygotowaniu:**

- Tomasz Pacyński – Wrota światów. Garść popiołu
- Anna Brzezińska – Wody głębokie jak niebo

**MARCIN MORTKA**

# **Wojna runów**



Agencja Wydawnicza  
**RUNA**

## WOJNA RUNÓW

Copyright © by Marcin Mortka, Warszawa 2004

Copyright © for the cover illustration by Robert Adler

Copyright © 2004 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2004

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Mariusz Liedtke

Redakcja naukowa: Rafał Kaczmarek

Redakcja: Jadwiga Piller

Korekta: Maria Kaniewska, Jadwiga Piller

Skład: Mariusz Liedtke

Druk: RS Print, Wrocław

Wydanie I

Warszawa 2004

ISBN: 83-89595-13-3

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA

A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 408

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

**[www.runa.pl](http://www.runa.pl)**

*Mojej Žonie Marcie*



# **Część pierwsza**





# PROLOG 1

Kłęcząca na śniegu Kriss drżała.

Świat wokół niej milczał. Koronami ośnieżonych świerków nie poruszał najłżejszy powiew wiatru, a jedynym słyszalnym odgłosem był szloch dziewczyny, cichy i zduszony. Nawet teraz, zrozpaczona i przerażona do granic, bała się płakać głośno, by nie naruszyć pradawnej ciszy Bezimiennej Doliny. Bała się gniewu wielkiego jesionu.

Góry szybko zlewały się z mrokiem nadchodzącego wieczoru. W oczach zapłakanej Kriss naraz wydały się zwalistymi sylwetkami olbrzymów, obojętnych na drobną, bezsilną istotę, kającą się z pokorą przed ogromnym drzewem. Przeniosła wzrok na jesion, teraz groźny, milczący, ciemniejący wraz z górskim lasem. Odeszła gdzieś światłość, którą promieniował jeszcze chwilę temu. Bezimienna Dolina ponownie stawała się zwykłą doliną.

Wizja jednakże nadal tkwiła wśród jej myśli i Kriss wiedziała, że długo nie odejdzie.

Nie usłyszała kroków za swymi plecami, mimo że mężczyzna wcale nie starał się iść cicho – gdy tylko dostrzegł skuloną sylwetkę, puścił się biegiem. U jego boku sadził susami wielki, muskularny wilk.

– Kriss! – krzyknął przybysz.

Spod opadłego kaptura ukazała się poważna twarz bez zarostu i oczy pełne przerażenia.

– Kriss! – wyszeptał, pomagając dziewczynie usiąść. Z trudem uniosła głowę i spojrzała na niego z półprzytomnym, gorzkim uśmiechem. Wilk polizał policzek Kriss i położył łeb na jej kolanach.

– Wiedziałam, że za mną idziesz... – wyszeptała. – Sverre, ja znów widziałam...

Człowiek nazwany Sverre zacisnął zęby. Wściekłość walczyła w nim o lepsze z ulgą.

– Kriss, jesteś szalona! – wycedził. – Dlaczego przychodzisz tu sama? Przecież wiesz... Wiesz, że te twoje... Te wizje potrafią osłabić ciało, a w górach...

– Dlaczego jestem tu sama? – Uśmiechnęła się blado, nie otwierając oczu. – Sverre, rozejrzyj się! Przecież nikt już nie pozostał!

– Jestem ja, jest Skygge. – Jego dłoń zmierzwiła sierść na wilczym łbie. – Jest też Gunnar, są inni. Kriss, nie możesz...

– Gdzie są inni? – zapytała sennie dziewczyna. – Gdzie? Wyrzekli się swego dziedzictwa, zapomnieli o swych korzeniach, porzucili nas... Żyją z dala od świata legend. Są teraz zwykłymi ludźmi, mają zwykłe problemy... To dobry wybór, lepiej zrobili od tych, którzy... Którzy poszli za Czarnym Złem.

– Jak Ragnar. – Sverre zacisnął zęby. – Wciąż nie mogę uwierzyć w jego zdradę!

Wilk targnął łbem, a w żółtych oczach błysnęła nienawiść. Chrapliwe, złowrogie szczeknięcie, niczym ostrzeżenie, poniosło się echem nad koronami drzew.

– Wierzysz w to, że powrócą ci, którzy nas zdradzili? – zapytał mężczyzna. – Że powrócą wraz z Czarnym Złem?

– Wiara nie ma tu nic do rzeczy... Ja właśnie to widziałam, Sverre. Oni wrócą, silni, zjednoczeni. Wybiją nas, zabiorą Bezimienną Dolinę. Okiełznają Króla Gór.

Spojrzenie Sverrego mimowolnie skierowało się ku czarnemu, rozłożystemu drzewu pośrodku polany. Zapadał już zmrok i konary nikły stopniowo w ciemnościach, lecz jego ogrom wciąż budził nabożny szacunek. Mężczyzna podświadomie pochylił głowę.

– Została nas garstka... – Kriss płakała. – Ledwie paru...

– Co... – Sverre się zawahał. – Co tym razem powiedział ci Król Gór?

– Nie wiem. – Znów zamknęła oczy, pozwalając łzom sunąć po brudnych policzkach. – Nie rozumiem wszystkiego... Powiedział mi, że niedługo nasze ziemie zaroją się od ludzi, których jedynym zadaniem będzie zabijać. Wśród nich wszakże znajdzie się trzech, których przeznaczenie skieruje ku Bezimiennej Dolinie. Jednego przywiedzie chciwość, drugiego nienawiść, a trzeciego... W sercu trzeciego nie znajdziesz zła, choć będzie on usynowiony przez

śmierć. On bowiem poznał dobrze jej tajemnice i kaprysy, lepiej od kogokolwiek z żyjących. On położy kres naszym wahaniom i cierpieniom, Sverre. On położy kres wszystkiemu.

\*\*\*

Reflektor na duńskim brzegu raz jeszcze zamigotał natarczywie, domagając się odpowiedzi. Wojtek sapnął i przeklął go w myślach.

– Ciągle to samo – mruknął ktoś za jego plecami. – *What ship i what ship*. Mógłby chociaż...

– Cisza na mostku – półgłosem odezwał się dowódca, komandor podporucznik Eugeniusz Wilczak. – Kurs bez zmian.

Narzekanie ucichło natychmiast i na mostku zapadła absolutna niemal cisza, przerywana jedynie mruknięciami oficera nawigacyjnego i cichymi komendami dowódcy. Wojtek przetarł oczy, zmęczone od wpatrywania się w mrok nad cieśniną Sund. Za nic w świecie nie chciał być teraz w skórze obserwatorów na pomoście bojowym, których zadaniem było lokalizowanie pław i latarniowców. Ziewnął szeroko, rad, że nikt go nie widzi. Na okręcie wprowadzono bowiem całkowite zaciemnienie, jedynie nad stanowiskiem nawigacyjnym i radiowym paliły się lampy, a pojedyncze czerwone światła pozycyjne idącej przed nimi „Błyskawicy” niemalże nikło w mroku.

Podporucznik Wojciech Śnieżewski, drugi oficer artyleryjski niszczyciela ORP „Grom”, czuł ogarniającą go senność. Był wysokim, szczupłym człowiekiem o gładkiej twarzy, niemalże bez śladów zarostu. Krótkie, jasne włosy czesał na bok, co wraz z wiecznie zaróżowionymi policzkami i ciemnoniebieskimi oczyma nadawało mu wygląd cherubinka, człowieka, który nigdy nie wydorosłeje. Jego ruchy były jednak oszczędne i pewne, a cała sylwetka emanowała energią i witalnością.

A przynajmniej tak było, gdy mógł się w jakikolwiek sposób wykazać. W tej chwili czuł się bowiem całkiem niepotrzebny.

Nie na wiele mógł pomóc zespołowi nawigacyjnemu, który prowadził okręt wśród mielizn płytkiego Sundu. Był w końcu oficerem artyleryjskim i do niego należało kierowanie ogniem dział, na co jednakże wciąż było za wcześnie. Choć nawet najwięksi optymiści dawno stracili nadzieję na uniknięcie konfliktu

z Niemcami, oficjalne wypowiedzenie wojny jeszcze nie nastąpiło. Polskie okręty wciąż nie miały prawa do otwarcia ognia.

Przekłęty pech, zaklął bezgłośnie. Ledwie kilka godzin temu minęli dywizjon okrętów na kontrkursie. Niszczyciele, może lekkie krążowniki, nikt nie wątpił, że to Niemcy. Sunęli nieśpiesznie, w szyku liniowym, nieświadomi, że skryci w mroku Polacy odprowadzają ich lufami dział i wyrzutni torpedowych.

A może płynęli do Zatoki Gdańskiej? Może mieli rozkaz, by o świcie otworzyć ogień na Hel, Jastarnię czy Gdynię?

Boże, co my tu robimy, westchnął z rozpaczą, przymykając oczy. Z trudem przegonił z myśli wciąż uparcie migotające światło duńskiego reflektora i wsłuchał się w odgłosy okrętu. Pokład drżał lekko pod jego stopami, wprawiony w wibracje mocą potężnych motorów, a woda szumiała wzdłuż burt. Ktoś zaklął, podając poprawiony odczyt, ktoś z trzaskiem skrzesał ognia i zapalił papierosa. Choć cichy i zaciemniony, okręt żył własnym życiem.

Wspaniały, szary smok, uśmiechnął się gorzko w duchu Wojtek. Wspaniały i potężny, lecz skępowany niewidzialnymi linami rozkazów.

Od zawsze nazywał „Groma” smokiem, choć nikomu się do tego nie przyznał, by nie uznano go za niepoprawnego marzyciela. Wiedział, że baśniowe określenia nie przystoją dorosłemu człowiekowi, a tym bardziej oficerowi okrętu wojennego, lecz z własną fantazją nawet nie próbował walczyć. Smoki, czarownice i zakłętę góry były najdroższą pamiątką z dzieciństwa, w którym pełno było opowieści, najpierw przekazywanych przez ojca, a później czytanych samodzielnie.

Nagle stanął mu przed oczyma beztroski obrazek z lat dziecięcych. Było słoneczne przedpołudnie, gdy ojciec zabrał go na spacer po krakowskich Plantach. Szli wolnym krokiem ludzi cieszących się życiem, opowiadali sobie zabawne historie i raz za razem wybuchali śmiechem. Mały Wojtek trzymał w jednej ręczce ogromnego lizaka, a drugą ścisnął dłoń ojca, co chwila wznosząc ku niemu główkę.

– Naprawdę tak było, tato? – pytał z niedowierzaniem, a ojciec śmiał się do rozpuku.

Ojciec... Tak dobrze pamiętał jego cierpliwą, zadumaną twarz i brodę, która zawsze drapała, gdy przychodził pocałować syna

na dobranoc. Pamiętał grube okulary w rogowej oprawce, poplamione atramentem palce i wiecznie zmierzwione włosy. Pamiętał gabinet pełen książek, zadumę na jego twarzy, gdy oglądał stare zdjęcia rodzinne, i przerażenie, gdy syn w wieku osiemnastu lat oznajmił, że chce wstąpić do wojska.

A może to właśnie jemu zawdzięczam ten pomysł, pomyślał po raz setny. Może to jego opowieści o dawnych bohaterach i tryumfalnych zwycięstwach wyrobiły w duszy chłopca pragnienie zostania żołnierzem, czemu jako młodzieniec oprzeć się już nie umiał? Przecież nie było w nim ani śladu wojowniczości. Choć był dzieckiem żywym i zadziornym, zawsze unikał bójek czy śmielszych psot. Niejednokrotnie wściekał się na siebie, wyrzucając sobie w myślach od tchórzy i łajdaków bez honoru, ale fakt pozostawał faktem. Od walki stronił zawsze.

A teraz dowodzę artylerią na najnowocześniejszym polskim okręcie. Ojciec by się za głowę chwycił.

Przeniósł wzrok ku nieodległym, skrytym w ciemnościach brzegom duńskim. Ojciec umarł właśnie tam, w cichej, słonecznej Danii, rok temu w sierpniu. Jak zwykle, spędzał lato w Kopenhadze, gdzie wspólnie z kilkoma kolegami z miejscowego uniwersytetu prowadzili jakieś badania historyczne, bodajże nad wyprawą Czarnieckiego. Odszedł nagle, bez ostrzeżenia. Potrafił go samochód, gdy wychodził wieczorem z uniwersytetu.

Wojtek poczuł smutek, że jest tak blisko, a jednocześnie nie może odwiedzić grobu ojca. Przeszło mu przez myśl, iż być może właśnie traci taką szansę na wiele lat, a może nawet na zawsze.

Nagle drgnął, słysząc za sobą czyjś głos.

– Jest pan wolny, Śnieżewski. – W ciemnościach ledwie poznał twarz porucznika Dzielskiego, pierwszego oficera artylerii. – Pańska wachta dobiegła końca.

– Tak, w rzeczy samej. – Wojtek otrząsnął się z zadumy. – Stawowiska w pogotowiu bojowym, działa załadowane pociskami burzącymi.

– Dziękuję. Miłej nocy.

Wojtek ruszył w kierunku kajuty, którą dzielił ze Staszkiem Łękiem, oficerem nawigacyjnym, ale rozmyślił się i wyszedł na pokład od strony prawej burty. Była piękna noc. Rzeńskie, morskie powietrze smakowało doskonale, niebo jarzyło się gwiazdnym

pyłem, a daleko, na szwedzkim brzegu, migotały gdzieniegdzie światełka rybackich wiosek. Za rufą białiał kilwater okrętu, a dalej Wojtek dostrzegał nikiel, pojedyncze światło pozycyjne „Burzy”.

– Magiczna noc – westchnął, opierając się łokciami o reling.

– Zaiste – powiedział ktoś obok niego. – Celnie pan to ujął.

– Panie komandorze! – Wojtek wyprężył się na baczność.

– Spocznijcie, poruczniku. – Dowódca niszczyciela, komandor podporucznik Eugeniusz Wilczak, uśmiechnął się lekko i ziewnął szeroko. – Nie bawmy się w konwenanse podczas magicznych nocy. Tym bardziej że pewnie niewiele nam ich zostało. Ma pan jakiegoś papierosa?

– Naturalnie. Proszę.

W ciemnościach błysnął promyk zapalki i obaj, dowódca i jego podwładny, zaciągnęli się dymem.

– Niech pan mówi – powiedział nagle Wilczak.

– Co mam mówić?

– Nie dręczą pana wątpliwości? – Dowódca wydmuchnął niebieskawy kłęb, natychmiast porwany przez bryzę. – Niechże pan nie żartuje. Ma je pan wypisane na twarzy.

– Myślałem o ojcu – bąknął zażenowany nieco Wojtek. – Jego grób jest w Kopenhadze.

– Tak, przypominam sobie. Profesor Andrzej Śnieżewski, światowej sławy historyk i archeolog. – Komandor podporucznik pokiwał głową. – Czytałem jego opracowania na temat legendy Jomsborga. Nadzwyczaj ciekawe wywody.

– Miło mi to słyszeć. – Wojtek poczuł, jak jego serce zalewa fala ciepła. – Naprawdę, komandorze... Jestem bardzo dumny z jego dokonań, ale..

– A ze swoich pan nie jest? Dobry z pana oficer, Śnieżewski. Pański ojciec również byłby z pana dumny.

– Pewnie tak, mimo że nie był zadowolony z pomysłu wstąpienia do wojska – przytaknął Wojtek z westchnieniem. – Po prawdzie, to wpadł w panikę, gdy mu o tym zakomunikowałem. Chciał, bym szedł w jego ślady, został nauczycielem i badaczem. Po roku targów i kłótni ostatecznie zezwolił mi na wstąpienie do Szkoły Morskiej w Gdyni. Teraz jednak... – urwał.

Mimo ciemności czuł, że dowódca bacznie mu się przygląda.

– Teraz jednak... – powtórzył jego słowa Wilczak, zaciągając się mocniej. Jego twarz rozświetlił żar papierosa. – Wiem, co pan ma na myśli. Trwają być może ostatnie dni pokoju, nasz kraj szykuje się do wojny, a my tymczasem opuszczamy Gdynię i pod osłoną ciemności wiejemy do Wielkiej Brytanii! Przemykamy niczym złodzieje przez Sund, bojąc się nawet odpowiedzieć na sygnały z brzegu! Trzy największe polskie okręty! Psiamać, Śnieżewski, nie podoba się to panu i ma pan rację.

Milczał przez chwilę, po czym podjął wątek:

– Poruczniku, wojna wisi na włosku. Zadaniem „Burzy”, „Błyskawicy” i „Gromu” jest dotrzeć do Wielkiej Brytanii, nawiązać kontakt z admiralicją, a w wypadku niemieckiej inwazji, wraz z Royal Navy, eskortować konwoje z materiałem wojennym do Polski. Podobnie jak pan, sercem jestem z naszymi kolegami w Polsce, ale rozsądek mówi jedno: na Bałtyku nie mielibyśmy z Kriegsmarine szans, poruczniku. Żadnych szans. Będziemy walczyć z portów brytyjskich, wraz z Anglikami, z większymi nadziejami na zwycięstwo.

Strzepnięty niedopalek zakreślił łuk w powietrzu i zniknął w falach.

– Nasz naród doprawdy wspaniale opanował sztukę umierania za wielkie sprawy. Śmierć jednakże nie jest sztuką dla sztuki, śmierć musi czemuś służyć. Nie jest moim marzeniem, by stanąć w szeregu i dać się wyróżnić. Chciałbym, by moja walka, a także śmierć, miały jakiś sens, jakiś cel. I to będę sobie powtarzał z każdą kolejną miłą morską, która oddziela nas od Gdyni. Dobranoc.

Z tymi słowami Wilczak odwrócił się i zniknął w drzwiach.

Śmierć nie jest sztuką dla sztuki, powtórzył w myślach Śnieżewski, stojąc samotnie na prawej burcie pogrążonego w ciemnościach okrętu. Nagle tknęło go przeczucie, że to zdanie ma znaczenie o wiele szersze niż tylko wsparcie na duchu tęskniącego za domem oficera, znaczenie, z którego Wilczak nie zdaje sobie sprawy.

Ja też nie, pomyślał, wpatrując się w ciemny szwedzki brzeg.

I chyba tego nie chcę.





# ROZDZIAŁ 1

Nie trzeba długo wędrować po Anglii, by natknąć się na jakieś tajemnice. W sierpniu 1939 roku starczyło ruszyć z Londynu na północ i minąć ciche miasteczko Welwyn, by pośród łąk i gajów brzoźowych dostrzec stojącą samotnie dwukondygnacyjną rezydencję z ubiegłego wieku, zwaną The Frythe. Miejscowi nie potrafili właściwie powiedzieć o niej nic konkretnego. Rzecz jasna, pamiętali kilka anegdot z przeszłości, gdy zamieszkiwała ją dostojna rodzina Wilshere, lub z ostatnich lat przed wojną, gdy posiadłość zamieniono na sentymentalny hotelik dla dżentelmenów z Londynu, ale od kilku miesięcy woleli na jej temat nie rozmawiać. Bo jak świat światem, nikomu paplanie o tajnej bazie MI-6 nie wyszło jeszcze na zdrowie.

Tablica na wielkiej, żelaznej bramie do The Frythe głosiła co prawda, że rezydencja została zajęta na potrzeby szkoleń oficerów rezerwy RAF, ale ludzie z okolicy wiedzieli swoje. Co to za ośrodek szkolenia pilotów bez pilotów? – pytał z przekąsem stary Jack Hollyfield, gospodarz jedyne go pubu w Welwyn. Od czasu pojawienia się owej tajemniczej tablicy nie widziano tu przecież żadnego pilota, a wiadomo, że jeśli ktoś chce dotrzeć do The Frythe, musi w Welwyn spytać o drogę. Nawet tutejsi mieszkańcy mieli problemy z odnalezieniem bocznej drogi do posiadłości, a co dopiero piloci, roztrzepane lekkoduchy, które na matce ziemi o własne nogi się potykały. W pubie U Hollyfielda dobrze pamiętano podirytowanych dżentelmenów, którzy obiecali ukochanym małżonkom romantyczny weekend w wiejskiej posiadłości, a zmuszeni byli błędzić bez końca po piaszczystych drogach Hertfordshire.

Tymczasem o drogę do The Frythe nie zapytał nikt od dobrych paru miesięcy, a kilku ludzi widziało, jak do posiadłości podjeżdżały czarne rolls-royce'y lub oldsmobile. Raz też przez Welwyn

przemknął autobus z zaciemnionymi szybami, co wystarczyło, by bywalcy pubu U Hollyfielda porzucili na zawsze temat dawnego hotelu. Byli przecież przezornymi, doświadczonymi ludźmi, którzy wiedzieli, że miejsce wilka jest w lesie i naprawdę nie ma po co go wywoływać.

Gdyby jednak któryś zdecydował się na odwiedzin w rezydencji, przekonałby się szybko, że niewiele zmieniła się od czasów rządów rodziny Wilshere. Nadal jej ściany pokrywała bujna broda bluszczu, a pod okapem wiły gniazdo jaskółki. Kwitnące przed werandą klomby kwiatów pachniały, aż się w głowie kręciło, pod oknami rosło kilka modrzewi, a ścieżki wciąż wysypane były białym żwirem. Gdyby gość miał odrobinę szczęścia, być może ujrzałby grupy młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn, ćwiczących walkę na noże, ale był to rzadki widok, nawet w The Frythe.

Gdyby zaś zakradł się tam nocą, mógłby z kolei pomyśleć, że ludzie stąd uciekli, a rezydencją władają duchy. Gdyby uczynił to zaś tej właśnie nocy, ponurej i deszczowej, byłby tego pewien.

Na kilka minut przed północą uśpionym obejściem wstrząsnął bowiem straszliwy wrzask.

\*\*\*

I znów świat oszalał.

Ogarnęło go przerażenie i nie wiedział już, dokąd ucieka. Dopiero co słał się wśród chatynek z darni, potykając się o ciała ich mieszkańców, poszatkowane seriami z pistoletów maszynowych, by w chwilę później walczyć z falami potoku, które próbowały wydusić zeń życie. Później pęzał po kamienistym brzegu, krztusząc się i szlochając, obojętny na ból poranionych łokci i kolan. Rozdygotane, słabe ciało poddawało się zmęczeniu, lecz wiedział, że zostały ledwie minuty na ucieczkę.

Nie musiał podnosić głowy, by widzieć języki lawy, jakie spływały po ścianach wulkanu. Rozgrzane powietrze huczało i syczało, a obrazy traciły ostrość, zniekształcone strachem.

Szybciej! Szybciej...

Ziemia zadrżała i w zboczu otworzyła się kolejna szczelina. Strumienie lawy strzeliły w powietrze, po czym ruszyły w dół. Już wiedział, że się spóźnił.

Obrazy następowały po sobie jeszcze prędej. Niszczycielska lawa pełźnie naprzód... Jego bezwładne ciało osuwa się wzdłuż zbocza... Szyderczy uśmiech na twarzy tamtego. I pistolet Luger, wolno unoszący się do strzału.

\*\*\*

- Wszystko z panem w porządku?

Harrington odetchnął ciężko i rozejrzał się wokół półprzytomnym spojrzeniem. Powoli wracała do niego świadomość. Był we własnej sypialni w The Frythe, za oknem wciąż wisiała gęsta noc, a zaniepokojony głos zza drzwi należał do pani Josephiny Timson, apodyktycznej gospodyni rezydencji.

Zamknął oczy i jeszcze szybciej je otworzył - fragmenty koszmaru wciąż wisiały w mroku za ścianą powiek. Lawa. Śmiech. Wystrzał.

Znów krzyczałem przez sen, pomyślał i roztarł kłykciami zaspane oczy.

- Naturalnie, wszystko w porządku! - zawołał, siląc się na normalny ton.

- Miło to słyszeć, drogi panie Harrington. - Głos pani Timson nawet w środku nocy był zręczliwy. - Pańskie złe sny to wina picia takich ilości dżinu z tonikiem, wielokrotnie panu powtarzałam. No ale cóż, jak kto sobie pościele... Dobranoc.

- Tak, oczywiście... Dobranoc - wymamrotał Harrington i spuścił nogi z łóżka. Przez moment po omacku szukał kapci, po czym narzucił na ramiona szlafrok i zbliżył się do okna.

- Nic ci nie jest? - zapytał z lekką drwiną głos z ciemnego kąta sypialni. - Naprawdę?

Harrington zmełł przekleństwo i oparł dłonie o parapet. Ulewa przybrała na sile. Ściana rześistego deszczu przesłoniła brzoźowy lasek, rosnący wzdłuż gruntowej drogi dojazdowej, a światła nieodległego miasteczka Welwyn zamieniły się w nieśmiałe, zamazane plamki na tle ciemności. Na drodze pojawiły się dziesiątki mniejszych lub większych kałuż.

Na szkle malowało się jego niewyraźne odbicie - surowa, znękana twarz, okolona rzadką brodą. Dotknął go powoli, z namysłem, i zapatrzył się na obwódki pary wokół palców, grubiejące

na szybko poznaczonej tysiącami deszczowych kropel. Lewa dłoń bezwiednie spoczęła na starej bliźnie na piersi. Blizna pulsowała, jak zwykle podczas deszczu.

I piekła, jak zwykle po tym koszmarze.

Z nagłym westchnieniem sir Harrington odwrócił się i podszedł do barku. Drżącymi rękami nalał sobie porcję dżinu z tonikiem, po czym zapalił niewielką lampkę przy biurku, wydobyl z szuflady okazałej grubości kajet i ujął pióro.

12 sierpnia 1939, *The Frythe*

*Sen znów powrócił. Po raz czwarty raz w ciągu dwóch ostatnich tygodni.*

*Mój niepokój rośnie. Ów koszmar, który jeszcze przed rokiem był ledwie zlepkim zamazanych obrazów, teraz staje się niezmiernie wyrazisty. Czuję w nim zimno, gorąco, ból, nawet zapach siarki z tego wulkanu, a po przebudzeniu drzę i skręcam się od wewnętrznych cierpień. Zapewne tej nocy również moje ułomne ciało nie otrzyma należytej porcji snu, lecz nie to martwi mnie najbardziej.*

*Po prostu podświadomie czuję, że natężenie mocy mego kosmaru oznacza zbliżający się przełom.*

*Wskazują zresztą na to wszelkie znaki na niebie i ziemi. Nad Europą wzbierają chmury, a wielcy tego świata ze wszystkich sił starają się ułagodzić żarłocznego Hitlera, lecz czy są w stanie zmienić cokolwiek? Mam złe przeczucia, doprawdy złe. Niemcy zagarnęli już Austrię i Czechosłowację, a teraz ostrzą sobie pazury na Polskę, ponoć naszego sojusznika. Czym to wszystko się skończy? Czy Chamberlainowi starczy odwagi, by wypowiedzieć wojnę Niemcom, gdy ci zaatakują Polaków?*

*Niech mnie przeklną wszyscy gorąco krwiści patrioci, lecz mam szczerą nadzieję, że Chamberlain okaże się tchórzem.*

*Wojna... Nie chcę jej. Kiedyś nazwałbym wojnę wymysłem szaleńców, gotowych palić i zabijać w myśl urojonych idei czy nadmiernej pychy! Zbyt dużo jednak w życiu wycierpiałem, by móc dalej powtarzać ten frazes. Dzisiaj wybuch wojny oznacza dla mnie po prostu zamknięcie granic, zlikwidowanie ambasady w Berlinie i rozpad całej siatki informatorów. Wojna oznacza kres moich planów.*

*I zwycięstwo Tritza.*

*Na wszystkich bogów, moje kosmary stają się coraz gwałtowniejsze, a tymczasem nadzieja blednie. Połowa moich informatorów zamilkła ze strachu przed Geheime Staatspolizei, a reszta biegnie za własnym ogonem.*

*Wciąż mam puste ręce, a koszmar sprzed lat pojawia się coraz częściej, przynosząc przeczucie, że lada dzień nasz wyścig zakończy się klęską.*

*Moją klęską.*

*Czyżby naprawdę nadchodził dzień finalnego starcia, nowoczesny Ragnarokk, rozegrany siłami pancernych okrętów, broni maszynowej i samolotów? Jeśli tak, to Niemcom zdecydowanie przyjdzie odegrać rolę płomiennego olbrzymia Surta, który ongiś spustoszył płomieniami cały świat. Płomieniami równie niszczycielskimi, jak lawa owego wulkanu z mego snu.*

*Ogarnia mnie strach, że nie zdążę w owym Ragnarokku wziąć udziału.*

Harrington pisał i pisał, pracowicie pokrywając kolejne kartki kajetu. Nie zauważył, że deszcz w końcu zelżał, a na ciemnym niebie pojawiły się nieśmiała szarość brzasku. Pół godziny później do drzwi jego sypialni zastukała pani Timson, nie siląc się nawet na dyskrecję.

– Drogi panie Harrington! – Ostry głos starszej pani był pełen oburzenia. – Proszę natychmiast wstawać! Pańskie śniadanie lada chwila będzie gotowe, a na godzinę ósmą ma pan umówioną wizytę doktora MacCraiga. O dziesiątej spotyka się pan z dżentelmenami z wywiadu marynarki, a na pańskim biurku leży już świeża poczta z Berlina i Warszawy.

Harrington wyprostował się i przetarł zmęczone oczy. Za oknem wstawał świt, wilgotny i ponury, który na próżno próbowały rozweselić swym śpiewem ptaki. Koszmar i związane z nim tysiące wątpliwości rozmywały się wraz z ustępującym mrokiem.

Świat na nowo zyskał solidne, racjonalne podstawy. A on znów nazywał się sir Andrew Harrington, był pułkownikiem armii oraz szefem Sekcji D brytyjskiego wywiadu Secret Intelligence Service.

\*\*\*

– Każda wizyta doktora MacCraiga sprawia, że czuję się nieco gorzej – powiedział Harrington. Stał przy oknie i patrzył, jak samochód doktora rusza wśród kałuż w stronę Welwyn. Czarny, smukły kocur w jego ramionach mruczał z zadowoleniem i mrużył zielone ślepka.

– Co też pan opowiada? – zawołała zdumiona pani Timson, zbierając filizanki na tacę.